

# Konsumowanie nasze powszechne

*Na zarośniętych ścieżkach...*

Im dłużej obserwuję problemy ekologiczne oraz zmagania z nimi, tym więcej mam wątpliwości w kwestii tzw. konsumpcjonizmu, z którym to zjawiskiem ekolodzy uwielbiają wojować. Poniekąd słusznie – im więcej konsumujemy, tym więcej Ziemia traci, gdyż gros towarów przez nas nabywanych pochodzi właśnie z jej zasobów. „Więcej” dla nas, to bardzo często „mniej” dla Ziemi.

Widzę jednak sporo zjawisk, które podważają – „ekologicznie słuszne” – poglądy antykonsumpcyjne. Tak miło pomstować na konsumpcjonizm, tak przyjemnie pisać manifesty przeciw konsumpcji, ale... konsumuję ja, konsumują moi znajomi ekolodzy, konsumują ci, których ktoś – lub oni sami – usiłuje kreować na ascetów.

Najbardziej dała mi do myślenia prawidłowość, że antykonsumpcyjnej krucjacie przewodzą często ci, którzy żyją na wysokim poziomie materialnym. Trudno osądzać, czy jest to hipokryzja, czy też pewnego rodzaju ślepotą, ale większość znanych mi krytyków konsumpcjonizmu to ludzie, których nie trapią przyziemne troski materialne. To dzieci bogatych rodziców, żony bogatych mężów i mężowie bogatych żon, osoby o wysokich dochodach itp. Ich po prostu stać na luksus „niekonsumowania” – mają zabezpieczony byt, w każdej chwili mogą sięgnąć po zgromadzone aktywa. Wysoki poziom własnego życia nie przeszkadza im głosić pochwały ubóstwa, skromności i umiarkowania. W końcu nic to nie kosztuje – papier jest cierpliwy, ludzkie uszy też.

Osoby zamożne mogą sobie pozwolić na apele, by „wszyscy” porzucili konsumpcję. Ale owi „wszyscy” jej nie porzucają, spętani właśnie materialnymi troskami, brakiem pewności, co będzie jutro (zwolnienie z pracy, choroba, kataklizm). A także pozbawieni wielu tych dóbr, które wydają się im niezbędne do życia. Paradoksalnie, żeby móc przestać myśleć w kategoriach wyłącznie materialnych, trzeba osiągnąć pewien poziom materialnego dobrobytu, pewien margines swobody. Głodnemu wszak chleb na myśli. Nie zapcha on sobie żołądka poezją i wachaniem kwiatków.

Ale czy naprawdę tego wszystkiego potrzebujemy? Czy dziesiątki i setki towarów są nam niezbędne? Być może nie, ale przecież wszyscy je mają, więc dlaczego my mielibyśmy sobie tego odmawiać? Jak być ascetą w gigantycznym rogu obfitości? – toż to wymaga niezłomnej, niemal heroicznej woli. Słyszymy, że Ziemia ginie, kurczą się dzikie tereny, wyczerpują surowce nieodnawialne. Ale przecież my – myślimy sobie – i tak konsumujemy mniej niż inni. Bo nie zmieniamy zbyt często samochodu, komputera, domu itd.

Owszem, dawniej nie było sektora reklamowego, który dopada nas na każdym kroku i diabelsko kusi, byśmy nabywali więcej i więcej, byśmy wypruwali sobie żyły w ciągłej gonitwie za nowymi doznaniem i produktami. Ale jeśli kiedyś ludzie konsumowali mniej, to nie tylko dlatego, że nie istniał zwodniczy sektor reklamowy, a oni sami mieli charakter rodem z żywotów świętych, lecz z tego powodu, iż po prostu istniały naturalne bariery konsumpcji. Moce wytwórcze były ograniczone, wskutek czego wielu produktów było bardzo mało, więc albo nie starczało dla wszystkich, albo też ich cena była tak wysoka, że przeciętny człowiek nie mógł sobie na nie pozwolić. Co nie znaczy, że ich nie pożądan – jednym z podstawowych wątków dawnych legend i opowieści, niezależnie od kręgu kulturowego, jest możliwość zdobycia ogromnych bogactw, posiadania tego, co dotychczas pozostawało poza zasięgiem możliwości ich bohaterów. Gdy tylko moce wytwórcze wzrosły, a dawne bariery pękły, ludzie chcą i mogą otrzymać to wszystko – teraz, zaraz, natychmiast, wciąż więcej.

To „rozmnożenie” dóbr konsumpcyjnych jest z punktu widzenia ekologii także poważnym problemem teoretycznym. Można bowiem mówić, że powinniśmy jedynie zaspokajać potrzeby życiowe, ale co to

znaczy? Jak je zdefiniować? Gdzie przebiega granica między koniecznością a zbytkiem, skoro – jak mawia mój znajomy – „jeden lubi Mozarta, a inny jak mu nogi śmierzdzą”, więc ilu ludzi, tyle definicji potrzeb życiowych. Nawet biznesmen z willą, limuzyną i ekskluzywnym jachtem może stwierdzić, że zaspokaja przy ich pomocy życiowe potrzeby, a w dodatku żyje skromnie, bo jego kolega po fachu ma dwie limuzyny, trzy wille i tuzin jachtów, on sam zaś również mógłby tyle mieć, ale woli trzymać gotówkę na bankowym koncie. Oczywiście celowo przejawiam, trudno bowiem uznać taką osobę za faktycznie żyjącą skromnie, jednak jeśli zachowamy umiar w porównaniach, to problem i tak pozostanie. Czy potrzebą życiową jest posiadanie własnego domu? Komputera? Samochodu? Wyjazd na wczasy zagranicą? Na pewno nią nie jest?

Konsumpcyjny pęd jest w pewnym sensie naturalny, choć oczywiście jego skala zależy od wielu czynników wyzwalających takie postawy. Gdyby był on czymś – jak twierdzi wielu ekologów – sztucznym i nowym, nie miałby takiej mocy i zasięgu. Coś w tym musi być, że nawet ludzie szczerze krytykujący konsumpcjonizm tak łatwo porzucają te ideały, gdy tylko mogą konsumować więcej. Kto z ekologów wyrzekł się nowych nabytków, gdy miały one być podstawą np. dobra jego rodziny? Albo gdy miało od tego zależeć jego zdrowie? Albo choćby wtedy, gdy mógł dzięki nim uczynić swe życie mniej znojnym, nudnym, niespokojnym? Niewielu znam ekologów, którzy naprawdę wyrzekli się podnoszenia poziomu własnego życia, jeśli tylko mogli i potrafili to uczynić. Także i my jesteśmy adeptami tego, co Roland Barthes określił mianem „mieszkańskiej Normy”. Wiemy, że pieniądze to nie wszystko i że szczęścia nie dają, że materialny dobrobyt jest kiepskim ideałem etycznym, że są setki powodów, aby nie konsumować – i niewiele z tego wynika, gdy mamy możliwość powiększyć swój stan posiadania. A jeśli ktoś jest bez winy, niech rzuca kamieniem – nie we mnie, ale np. w swój telewizor czy piec centralnego ogrzewania.

Bardzo często ekolodzy ulegają także pewnej iluzji. Jeśli ktoś kupuje nowy komputer czy samochód, to jest to złe. Ale jeśli ktoś inny jedzie na wakacje (oczywiście w dziczy), pokonując setki kilometrów, to jest to ponoć dobry, ekologiczny styl życia. Złe jest zabicie zwierzęcia w celu jedzenia mięsa, ale dobre jest ponoć spożywanie wegetariańskiej żywności, choćby była ona przywieziona – jak np. podstawowy składnik bezmięsnego menu, soja – z innego kontynentu. Złe jest kupowanie głupich kolorowych gazet, ale dobre jest ponoć kupowanie mądrych książek. Dobre jest mieszkanie w wiejskiej chałupie, ale już podobno nie w wielkomiejskim bloku. Tymczasem „ciężar” ekologiczny takich kroków bardzo często jest jednakowy, oznaczając podobne zużycie surowców i energii. Jechać przez pół świata trzeba przy pomocy stosownej infrastruktury, soja z USA nie jest dostarczana gołębiem pocztowym, mądra książka powstaje z tego samego papieru co głupia gazeta, a wiejska chałupa często oznacza wykorzystanie większej ilości surowców i zabudowanie większego kawałka ziemi niż w przypadku np. małego mieszkania w wielkomiejskich blokach. Różnica ta bywa często nader pozorna, nie przekładając się na żaden efekt poza lepszym samopoczuciem i zadzieraniem nosa.

Ba, nawet aktywna postawa ekologiczna też opiera się na konsumpcji. Organizacje ekologiczne kupują nowe komputery, nierzadko samochody, zużywają mnóstwo surowców w trakcie swoich działań. Oczywiście to wszystko ma służyć szlachetnym celom – czy jednak rzeczywiście tak jest? Czy efekt nie jest mizerny w zestawieniu ze środkami, jakie posłużyły do jego osiągnięcia? Czy aby na pewno nie jest tak, że czasem najbardziej radykalne byłoby nic-nie-robienie? I czy przypadkiem podobnie jak my nie usprawiedliwiają się ci, którzy też konsumują i też mają ważne cele? Czy nasza „obrona Ziemi” brzmi bardziej wzniosle niż „dobrobyt ludzkości”, „wyeliminowanie biedy i głodu” czy choćby nawet – w skali jednostkowej – „dobro rodziny”? Znacnie jakąś wagę, która potrafiłaby wymierzyć tak niewymierne kwestie? Ja nie znam.

To wszystko nie ma służyć usprawiedliwianiu konsumpcji i jej skutków. To raczej próba podzielenia się wątpliwościami, jakie trapią mnie w – jak nazwał to Hakim Bey – „Cywilizacji Anoreksji i Bulimii”, gdzie orgia konsumpcji miesza się z ascetycznymi apelami o wyrzeczenie się jej. Czy hedonizm i

asceza to dobre modele do naśladowania? Czy te skrajności nie przyciągają się niepokojąco? Nie wiem. Jak łatwo zauważyć, więcej mam pytań niż odpowiedzi, więcej wątpliwości niż pewników. Ten temat nie jest lekkostrawny, łatwy do przełknięcia i... skonsumowania.

Remigiusz Okraska